

PSYCHIKA NASTOLETNIICH UCZNIÓW

Wiele lat temu wzięłam udział w niezwykle interesujących warsztatach metodycznych dla nauczycieli języka angielskiego. Już sam moment przedstawienia się uczestników był raczej niezwykły. Każdy miał wybrać sobie muszlę z wystawionej w koszyku kolekcji – i przedstawić w jaki sposób reprezentuje ona mnie jako nauczyciela. Byłam jedyną nieanglojęzyczną z pochodzenia więc stanęłam skromnie na końcu. Kiedy przyszła moja kolej ... muszli już po prostu zabrakło. Ostatnią w miarę całą wzięła osoba stojąca przede mną.

Wysypałam więc na dłoń kawałki pozostałe z pokruszonych muszelek – i przedstawiłam wizję ucznia, który znalazł się w mojej klasie. Połamany, pokruszony, poobijany psychicznie – nie zawsze z własnej winy. Może był zbyt miękki, może było ich za dużo, jak tych muszelek w koszyku, a może znalazł się w czyichś, niezbyt delikatnych rękach...?

Wiem, że nie zawsze da się te połamane kawałki poskładać i skleić, ale jako nauczycielka, a więc pedagog, muszę w każdym tym kawałeczku dostrzec piękno oryginału. W każdym z moich pokruszonych, podłamanych psychicznie uczniów muszę dostrzec piękno prawdziwego człowieka. Muszę ich o tym przekonać, nawet jeśli oni sami przestali już w to wierzyć...

Aby nie być gołosłowną, przytoczę przykład. Uczyłam w państwowej męskiej szkole średniej (kl 7 – 12). Moja dziewiąta klasa angielskiego do łatwych nie należała. W jednej klasie zebrano dwudziestu nieprzystosowanych chłopców, którzy mieli problemy z zachowaniem, z wagarowaniem, albo z językiem, nawet jeśli większość życia spędzili już tu, w Australii.

Staralam się uczynić lekcje atrakcyjnymi, żeby chłopcy nie tylko musieli, ale lubili brać udział. W poniedziałek klasy dziewiąte miały język angielski na pierwszych dwu lekcjach. Uwagę moją zwrócił jeden uczeń, który znany był ze swojej krnąbrności. Niegrzeczny, opryskliwy, uparty – wiele osób się na niego skarżyło. Zauważyłam, że w każdy poniedziałek ten chłopiec przychodzi do szkoły szczególnie zdenerwowany. Często zapłakany.

To chyba nie problemy rodzinne. Był zawsze czysto i ładnie ubrany. Miał odrobione lekcje... Ale w klasie nie mógł się skupić i na każdą propozycję pomocy odpowiadał wyzywająco, wręcz niegrzecznie. Intrygowało mnie to coraz bardziej.

W jedno sobotnie popołudnie do naszych drzwi frontowych zadzwonili Świadkowie Jehowy. Otworzył mąż, ale ja słysząc rozmowę, wychyliłam się także, aby mu pomóc ich spławić. Na werandzie stała kobieta i ... ten mój problematyczny uczeń. Kiedy mnie zobaczył – zdołał tylko zawołać - O, nie, nie!!! I wybiegł na ulicę. Matka poszła za nim. Przypuszczam, że wytłumaczył jej kim jestem.

W poniedziałek chłopiec trochę się spóźnił. Klasie dałam tekst do cichego czytania, a z nim usiadłam na zewnątrz żeby porozmawiać.

- Teraz Pani już wie, powiedział. Ja tego nie cierpię, ale my musimy chodzić od domu do domu z Dobrą Nowiną. Musimy co miesiąc zdać dokładne sprawozdanie do ilu osób udało nam się dotrzeć. Przez kilka tygodni będziemy w Pani dzielnicy. Musimy chodzić. Rodzice mówią, że oni nam pomogli tuż po przyjeździe do Australii. To miało być tak z dobroci – a teraz nas szantażują. Tato chodzi z siostrą a mama ze mną. Co ja mam zrobić proszę Pani? Ja się chyba zabiję!

Nie, nie jest tak tragicznie. Zapewniłam go, że spróbujemy znaleźć wyjście z tej sytuacji. Ponieważ chłopcy mieli także problem z poprawnym wystawianiem się, zaproponowałam koordynatorowi języka angielskiego uzupełnienie do mojego programu. W każdy poniedziałek poświęcę lekcje na 'public speaking' – wygłoszenie przemówienia i dyskusję. Uzyskałam całkowitą aprobatę tego pomysłu.

Tak więc w każdy poniedziałek jeden z uczniów, na ochotnika miał wygłosić przemówienie. Temat przemówienia – Religie świata. Rozpoczęłam od ucznia, który był jednym z Katolików. Mieliśmy tydzień na przygotowanie. Pomogłam mu. Udało się. Przemówienie było doskonałe.

Poprowadziliśmy dyskusję. Było wiele zapytań, wymagających wyjaśnienia. Zaangażowali się nie tylko Katolicy, ale cała klasa.

Na kolejny poniedziałek przeznacziliśmy Świadków Jehowy. Chłopiec opowiedział historię swojej rodziny. Przy odpowiedziach na pytania musiałam mu pomóc, bo okazało się, że więcej wiedziałam na ten temat od niego. Też się udało. Kolejno tematami miały być inne religie.

Mój nieszczęsny Świadek Jehowy nie posiadał się z radości. Na miesięcznym spotkaniu pomnożyli 20 osób przez 2 godziny intensywnego nauczania i wyszło, że mają oni już wyrobioną normę do końca roku. W szkole wkrótce dostrzeżono zmianę w jego zachowaniu. Wytłumaczyłam psychologowi na czym polegał mój trick. Przyrzekł zająć się tą sprawą.

Kolejny rok szkolny zastał mnie już w innej, o wiele lepszej szkole... Chociaż i tam nie brakło okazji do sklejanego podłamanej psychiki nastoletnich uczniów.